

Powieść o narodzinach kina i legendarnego Włóczęgi

OSTATNI  
TANIEC

Chaplin

FABIO STASSI



Noc Bożego Narodzenia 1971 roku. Osiemdziesięciodwuletni mężczyzna zapala światło w pokoju. W fotelu przy oknie siedzi Śmierć otulona płaszczem.

ŚMIERĆ Czekałam na ciebie.

Mężczyzna ma na sobie wytarte, wygniecione spodnie i przyciasny zakiet. Na głowie melonik, który unosi lekko na znak powitania.

MĘŻCZYŻNA Ja na ciebie też. Sześćdziesiąt lat temu wróżka przepowiedziała mi, że przyjdiesz dzisiaj.

ŚMIERĆ To dlatego włożyłeś ten kostium?

Mężczyzna zaczyna krążyć po pokoju zmęczonym krokiem pingwina. Zawadza o nogę stołu i przeprosza. Przeprasza także dywan i stojącą przy ścianie lampę.

Starucha przygląda mu się z powagą.

Mężczyzna zatrzymuje się, zdejmuje melonik.

MĘŻCZYŻNA Chciałem tylko cię rozśmieszyć.

ŚMIERĆ Nie rozśmieszyłybyś nawet dziecka. Skończ tę żalosną komedię i idziemy.

Mężczyznę ogarnia panika jak w dzień jego debiutu w Nowym Jorku... Usiłuje robić zabawne miny, lecz zbiera mu się na płacz.

MĘŻCZYZNA Mój syn, Christopher, ma dopiero dziewięć lat, potrzebuje mnie. Chciałbym jeszcze trochę popatrzyć, jak rośnie.

ŚMIERĆ Powinieneś się zastanowić, kiedy w twoim wieku go płodziłeś.

MĘŻCZYZNA Żona mówiła mi zawsze, że wyszła za mąż za młodego człowieka.

ŚMIERĆ Twoja żona jest uprzejma...

MĘŻCZYZNA To niesprawiedliwe. Przywoływałem cię tyle razy, kiedy byłem mały jak dzisiaj mój syn, mieszkalem w Londynie na poddaszu i siadając na łóżku, za każdym razem uderzałem głową w sufit, a moja matka wyglądała przez okno...

ŚMIERĆ Wtedy nie nadszedł jeszcze twój czas.

MĘŻCZYZNA Płakałem i powtarzałem adres, żebyś po mnie przyszedła: Pownall Terrace numer trzy, ostatnie piętro.

ŚMIERĆ Skończ już, robi się późno.

MĘŻCZYZNA Poczekaj, rozbawię cię, to jedyne, co potrafię.

ŚMIERĆ Nikomu to się jeszcze nie udało.

MĘŻCZYZNA Rozbawię cię, jestem tego pewien. Popatrz.

Mężczyzna próbuje innych numerów – bezskutecznie. Nie wykonywał ich już od wieków.

ŚMIERĆ Zrobił się z ciebie naprawdę patetyczny staruszek. Przebierz się, przecież tak ze mną nie pójdziesz.

Upokorzonemu mężczyźnie odklejają się sztuczne wąsy i spadają na podłogę; kiedy się schyla, aby je podnieść, kręgosłup zawodzi. Mężczyzna nie może się wyprostować, zostaje przygwożdżony pośrodku dywanu. Jest zgnębiony, zgrzybiały, obolały.

ŚMIERĆ Ha, ha!

Mężczyzna jest zdezorientowany. Odnosi wrażenie, że Śmierć się roześmiała, ale ból zatyka mu uszy. A przecież nie pomylił się. Śmierć się śmieje, ma łzy w oczach.

MĘŻCZYZNA Śmiejesz się...

ŚMIERĆ Rozbawiłeś mnie. Żebyś ty wiedział, jak wyglądasz!

MĘŻCZYZNA (*usiłując bezskutecznie się wyprostować*) Powiedziałaś, że nikomu jeszcze to się nie udało.

ŚMIERĆ Tak, masz rację, nikomu. Ha, ha!

MĘŻCZYZNA Proponuję ci zakład (*mówi z trudem, nadal w niewygodnej pozycji*): będziesz wracać w każde Boże Narodzenie, a jeśli uda mi się znowu cię rozśmieszyć, pozwolisz mi żyć do następnego...

ŚMIERĆ Nie myśl, że będzie ci łatwo. Dziś wieczorem byłam wyjątkowo łagodna.

MĘŻCZYZNA Będę się starał.

ŚMIERĆ Nie powinnam wdawać się w dyskusję z aktorem.

MĘŻCZYZNA To uczciwy zakład.

ŚMIERĆ No dobrze, Włóczęgo, wróć za rok, zapracowałeś sobie na niego. W gruncie rzeczy przyjemnie jest się pośmiać.

MĘŻCZYZNA A więc do przyszłego Bożego Narodzenia.

Śmierć znika z fotela. Zmęczony mężczyzna opiera się o biurko i oddycha głęboko, z ulgą.

Pierwsza rolka

*Corsier-sur-Vevey, 24 grudnia 1977*

Kochany Christopherze Jamesie,  
wieczorem obchodzę swoje osiemdziesiąte ósme Boże Narodzenie – w rodzinie, jak wszystkie ostatnie. Opowieść, którą zacznę zaraz pisać, to mój podarunek dla ciebie. Zaciągnąłem wobec ciebie dług, którego nie mogę spłacić. Jesteś moim ostatnim dzieckiem, masz zaledwie piętnaście lat, spłodziłem cię już po przekroczeniu siedemdziesiątki. Będziesz dorastał beze mnie. Dlatego muszę się pośpieszyć, zanim mój zgon wzbudzi sensację na całej planecie. W 1910 roku w San Francisco wróżka wywróżyła mi z kart, że powinienem być umrzeć sześć Bożych Narodzeń temu na odskrzelowe zapalenie płuc po niezwykle szczęśliwym życiu.

Od sześciu lat w każde Boże Narodzenie odwiedza mnie Śmierć. Siada przede mną i czeka. Wkładam wtedy moje ubranie włóczęgi i odgrywam któryś z dawnych numerów. Jeśli się zaśmieje, zyskuję kolejny rok życia; taką zawarliśmy umowę. Nie umrę, dopóki będę w stanie ją rozbawić. Muszę jednak przyznać, że ostatnio rdzewieję. Nie udałoby mi się

wywołać u niej ani jednego uśmiechu, gdyby nie sama moja starość – wiek najbardziej komiczny ze wszystkich.

Te sześć lat było dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Chciałem widzieć, jak rośniesz, jak robisz się silny, jak uczysz się muzyki. Ale dziś wieczorem Starucha siedzieć będzie w moim fotelu poważna, oziębła, nie rozbawi jej nawet najdoskonalsza scena. Tak, Christopherze, doskonałość nie rozwesela. Dziś po raz ostatni wkładam strój Charliego. Czuję to w kościach, a moje kości nigdy jeszcze nie skłamały. Schodzę ze sceny. W gruncie rzeczy nie żałuję, że Starucha zabierze mnie ze sobą w dniu, w którym świętuje się narodziny dziecka.

Te ostatnie godziny pragnę spędzić z tobą.

Mam ci tyle do powiedzenia.

Ubrałem się całkiem jak kiedyś, oczy podmalowałem czarną szminką, otworzyłem znowu pudełko ze sztucznymi wąsami; jeśli ich nie przykleję we właściwy sposób, to już koniec.

Piszę do ciebie teraz na tym stoliku z bukszpanowego drewna, w kącie pokoju. Jestem przekonany, że gdy się pisze na małych, niezajmujących dużo miejsca stolikach, myśli skupiają się, nie trzeba ich gonić wzdłuż ściany jak jaszczurek czy gekonów, wystarczy wyciągnąć rękę i złapać je za ogon.

O moim życiu wiadomo wszystko lub prawie wszystko.

Kilka lat temu opublikowałem autobiografię, którą sprzedawano wszędzie, napisano o mnie tysiące stron. Wystarczy wymówić moje imię, aby wywołać podziw w każdym zakątku planety, od Birmy po Ziemię Ognistą. Może powinienem był raczej powiedzieć: imię postaci stworzonej prze-

ze mnie w pewne deszczowe popołudnie 1914 roku, podczas kręcenia krótkometrażówki, kiedy w męskiej szatni wybrałem zbyt obszerne ubranie. Te anegdoty opowiadałem już na wszelkie sposoby, ale zawsze zaskakuje mnie tajemnicza prostota, z którą przyszedł na świat Charlie albo *The Tramp* – Włóczęga, jak go nazywają Amerykanie.

Nie zdradziłem natomiast nigdy nikomu prawdziwych początków mojej kariery i wszystkiego, o czym teraz napiszę, bo nie uwierzyłyby mi nawet twoja matka – moja Oona. Nie chciałem strwonić najcenniejszego sekretu mojego istnienia, czegoś w rodzaju dziecinnej obietnicy, której chciałbym pozostać w jakiś sposób wierny i która rekompensuje wszystkie moje błędy, wszystkie sprzeczności i chaos w moich wspomnieniach. Teraz jestem jednak dostatecznie stary, by móc gwizdać na reputację i inne podobne sprawy. W moim wieku łatwo się pogubić. A zresztą, czy można uwierzyć, że ścisła dłoń Debussy'ego i Strawińskiego, Rubinsteina, Brechta i Gandhiego, że w krótkich spodenkach grało się w tenisa z Eisensteinem i Buñuelem, że przyjmowali mnie królowie, księżęta i prezydenci, że sam Albert Einstein płakał jak dziecko, oglądając moje filmy? Moja pamięć to szafa tak nieprawdopodobna, że nie wiem już, czy jej zawartość odpowiada rzeczywiście temu, co przeżyłem, czy też temu, co mi się przyśniło. Nie istnieje dla mnie wyraźna granica między tym wszystkim, co naprawdę mi się zdarzyło, a tym, co bez przerwy wymyślałem w swojej głowie. Na starość mogę trochę się ośmieszyć, dobrze mi to tylko robi, bo wbrew ogólnej opinii byłem człowiekiem niezmiernie poważnym i stuprocentowym perfekcjonistą. Zwolennicy McCarthy'ego, którzy przetrawili

wstyd wojny wietnamskiej, i jakiś zawistny kolega będą wreszcie mogli napiętnować moje szalone przemówienia o społeczeństwie bardziej sprawiedliwym, bardziej wolnym i ludzkim jako dowód choroby umysłowej. Nienawidzili mnie zresztą także hitlerowcy, chociaż nie miałem szczęścia być Żydem. Zakazali *Gorączki złota*, rysowali mnie z zakrzywionym nosem i nazwali małym żydowskim linoskoczkiem, równie wstrętnym, co nudnym. Nie było to pierwsze ani ostatnie prześladowanie, któremu mnie poddano. W Pensylwanii i w Południowej Karolinie Ku-Klux-Klan i stowarzyszenia ewangelickich pastorów, dziesiątki zacnych amerykańskich chrześcijan polewających benzyną nie tylko celuloidowe taśmy, od samego początku cenzurowały moje filmy i zakazywały ich wyświetlania. Ale nawet ludziom ze swastyką nie udało się zabronić mojemu Włóczędze, który przedtem swoim cierpkim głosem śpiewał tylko jedną bezsensowną piosenkę, wejść w przebraniu fryzjera na najważniejszą trybunę w Europie; nikt inny nie zdołał wyrwać mikrofonu z rąk Hitlera... Mówca zszedł z podium i nie potrafiłem go już odnaleźć. Zniknął jak tuman kurzu na polach Auschwitz czy Buchenwaldu; wszystko, co miał do powiedzenia, powiedział od razu.

Dzisiaj opowiem ci wszystko jednym tchem, bo nie chciałem, żeby mi przerwano w najciekawszym momencie. Proszę cię tylko o drobny wysiłek wyobraźni, bo będę mówił o rzeczach bardzo odległych od słonecznych szwajcarskich łąk, które otaczają nasz dom. O czasach, kiedy naprawdę byłem włóczęgą, kiedy nie udawałem go jeszcze na scenie, nie zaznawałem pogody ducha, napawając się widokiem jezior i gór.

Pora ci powiedzieć, gdzie się urodziłem. Nie w Londynie, jak powszechnie piszą, chociaż nikt nigdy nie znalazł stwierdzającego to dokumentu, lecz w ciemnym lesie w pobliżu Smethwick, w samym środku Anglii, na wozie wędrownych artystów zwanym Cygańską Królową. Rok po tym, jak Louis Aimé Augustin Le Prince nakręcił pierwszą krótkometrażówkę w dziejach kina – scenę trwającą całą wieczność dwóch sekund. Już od początku cyrk, moje życie i życie kina splecione były o wiele bardziej, niż można sobie wyobrazić.

Zaledwie przyszedłem na świat, moi rodzice się rozeszli. A ze mną było tak:

Jak wiesz, twoja babka Hannah była subretką w teatrze rozmaitości. Występowała pod imieniem Lillie, miała talent do robienia min. Opierała ręce o okienną szybę, jakby licząc uderzenia czyjegoś serca. Przypatrywała się ludziom, a potem ich naśladowała – chód, powitania uchyleniem kapelusza, wyraz twarzy. Jednak pewnego dnia coś w niej pękło, straciła głos, sen i wynagrodzenie (dziesięć szylingów tygodniowo); ściemniała jasność jej urody. Hannah zaczęła szybko się rozpadać.

Także twój dziadek był artystą – zawodowym śpiewakiem, aktorem kabaretowym, recytatorem. Zdaniem twojej babki był podobny do Napoleona Bonaparte, ale jak wielu innych aktorów bez przerwy pił. Nie widywałem go prawie nigdy, a kiedy zdarzyło mi się go zobaczyć, odnosiłem zawsze niemiłe wrażenie. Alkohol pozbawił go wszelkiego uroku, zniszczył jego karierę i popsuł krew. Spotkałem się z nim ostatni raz w pubie na Kennington Road; wtedy też po raz pierwszy w życiu mnie uściskał.

Częściej widywałem mojego dziadka, który zelował buty w Londynie w swoim mieszkanku w East Lane, i nieraz marzyłem sobie, że zostanę szewcem jak on. Ten zawód mnie urzekał. Lubiłem zapach skóry i kleju, lubiłem tę całą ręczną robotę, podobała mi się niezbędna przy niej cierpliwość. Dziadek postawił sobie w warsztacie ławeczkę i nie ruszał się stamtąd nawet w nocy. Żona już z nim nie mieszkała. Po latach szycia przyszew zaczęła się pocieszać z młodszymi mężczyznami. Była czarną owcą rodziny. Niestety mało miałem z nią do czynienia, ale tej sprzedającej na ulicy znoszone kurtki kobiecie zawdzięczam świadomość faktu, że w moich żyłach nie płynie ani jedna kropla niebieskiej krwi.

Na szczęście był ze mną zawsze mój starszy brat Syd, bez jego pomocy nigdy niczego bym nie osiągnął. Syd wiedział, jak dodać mi otuchy. Kiedy sprawy przybierały niekorzystny obrót, brał swoją trąbę i dmuchał w nią, nadymając policzki w tak komiczny sposób, że wyzbywałem się wszelkiej melancholii. Umiał też bawić się słowami, wymyślać bezustannie trudne do wymówienia wyrazy, wierszyki i gry pamięciowe, które wypełniały puste dni.

Pieniądzy było tak mało, że kilka zim musiałem wraz z Sydem spędzić w dobroczynnym zakładzie dla sierot na południowym brzegu Tamizy. W wieku pięciu lat debiutowałem już w teatrze piosenką Jacka Jonesa, zastępując matkę. Zacięła się w pewnej chwili i dalej ani rusz; była to pierwsza oznaka jej choroby. Wygwizdano ją wtedy, spadł na nią deszcz poduszek i miedziaków. Piosenkę znałem na pamięć i poradziłem sobie doskonale, choć teraz zbyt łatwo byłoby powiedzieć, że dowodziło to predestynacji. W rzeczywistości stanąłem w światłach rampy tylko po to, aby ratować matkę przed upokorzeniem

i szaleństwem. We wszystkim, czego dokonałem później, tkwiła owa gniewna obietnica pełnego wstydu dziecka, które postanowiło zostać największym aktorem na świecie.

Przenieśliśmy się potem do Manchesteru. Nauczyłem się tańczyć w drewniakach i wszedłem w skład ośmioosobowego zespołu chłopców pod nazwą *Eight Lancashire Lads*. Ludzie przychodzili patrzeć, jak tańczymy, i dobrze się bawili. Zaangażowano nas do londyńskiego Hipodromu, wystawiliśmy tam pantomimę o Kopciuszku.

W dzień Bożego Narodzenia, jak dzisiaj.

Osiemdziesiąt lat temu, Christopherze, możesz sobie wyobrazić?

Osiemdziesiąt długich lat.

A przecież pamiętam to wszystko lepiej od tego, co wczoraj jadłem.

Nauczyłem się tam fikać koziołki, robić salto mortale, chodzić na rękach.

W Hipodromie był tor jak w cyrku, który w razie potrzeby wypełniano wodą, zwiększało to efektywność scenografii i baletów. Ubrano mnie w kostium z ogonem i kazano krążyć wokół nóg Kopciuszka jak kot.

Właśnie za tym torem, kiedy pewnego wieczoru ćwiczyłem swoją rolę, usłyszałem rozmowę wielkiego białego klauna Marceline ze sztukmistrzem Zarmo. Właściwie nie umiałem jeszcze czytać i pisać, ale słyszałem dobrze, bądź tego pewien. Nie zapomniałem z tego dialogu ani słowa.





W bożonarodzeniowy wieczór – tak jak było w starej przepowiedni – Śmierć odwiedza Chaplina w jego szwajcarskim domu. Wielki aktor i reżyser przekroczył już osiemdziesiątkę, ma małego syna i chce żyć jak najdłużej, by jego dziecko mogło przy nim dorastać. Zdobywa się więc na odwagę i proponuje Śmierci umowę: jeśli uda mu się ją rozbawić, dostanie kolejny rok życia. I tak rozpoczyna się osobliwy taniec artysty ze Śmiercią.

W oczekiwaniu na ostateczne spotkanie Chaplin pisze do syna długi, pełen pasji list. Pragnie mu opowiedzieć swoją prawdziwą historię, której nikt jeszcze nie słyszał. Słowa listu oddają brawurową przygodę, jaką było jego życie, i rewolucyjną epokę, w której urodził się, dorastał i robił karierę.

Uboże dzieciństwo w Wielkiej Brytanii, ojciec alkoholik i chora psychicznie matka. Debiut na scenie u boku brata, cyrk i poznani w nim przyjaciele, wodewil. Pierwsze sukcesy i przybycie do Stanów Zjednoczonych, gdzie jako młody chłopak był bokserem, drukarzem, balsamistą.

Amerykańska młodość Charliego kończy się, gdy mając dwadzieścia pięć lat, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności tworzy swą charakterystyczną postać filmową (niepewny chód, laseczka i zakurzony melonik, maniery lorda w ubraniu żebraka). Dawny Charlie przestaje istnieć. Rodzi się Włóczęga. I odtąd świat Chaplina nigdy nie będzie już taki sam.

[www.morginesy.com.pl](http://www.morginesy.com.pl)



9 788364 700132

cena 34,90 zł

PIĘTOKĄT MEDIALNY

FILMBOX

BOOKLIPS.PL IIIII



MAGAZYN  
KULTURALNY